

Na dziesiąte urodziny dostałam nowe pantofle. Nie były to zwyczajne buty, jakie my dzieci zazwyczaj dziedziczyliśmy po starszym bracie lub siostrze i już na pierwszy rzut oka było wiadomo, że przeszły swoje. Zrobiono je z miękkiej skórki, miały piękne klamerki, które błyszczały w słońcu, gdy na chwilę zatrzymywałam się pośrodku drogi. Nawet ojciec był zachwycony, a przecież widział niezliczone mnóstwo butów: oglądał te moje długo i uważnie, z bliska przyjrzał się szwom na krawędziach i zgiętym palcem postukał w podeszwę. Pantofle dostałam od jego siostry, mojej ciotki, która niemal całe życie mieszkała w Argentynie, więc wszystkim opowiadałam, że buty przywędrowały zza oceanu.

Nieco później w naszej okolicy odbywało się wesele. Wśród gości buty wzbudziły prawie takie samo zainteresowanie jak panna młoda, a najbardziej podziwiała je moja o rok młodsza siostra. Już wtedy wiedziałam, że kiedyś będzie prawdziwą piękną, miała długie włosy, w których promienie słońca budziły tęczkowe odbłaski, a kiedy patrzyłam w jej oczy, zawsze wydawało mi się, że widzę wierzchołki zielonych świerków. Zgodnie ze starym zwyczajem pannę młodą porwali weselnicy, więc pan młody udał się na jej poszukiwanie, a pozostali goście czekali na ich powrót. Wtedy ojciec poprosił mnie, żebym pożyczyła pantofle siostrze, choćby na kilka minut. Nie zgodziłam się. Już włożywszy je pierwszy raz, podziwiałam nie tylko buty, ale i własną dopiero co odnalezioną urodę, a potem pomyślałam, że miłość wcale nie potrzebuje twarzy i jak nic snuje się bez końca przez lądy i oceany. Wszystko to powiedziałam ojcu, bo chciałam wyjaśnić przyczynę swojej nieustępliwości, i dodałam na końcu, że moim zdaniem miłość może żyć także w butach. Mój głos zagłuszyły

wesołe okrzyki gości, które oznajmiły przybycie pana młodego z odnalezioną panną młodą. Siostra, jakby zaboląła ją radość innych, opuściła wzrok, a długie włosy niczym zasłona zakryły jej twarz.

Kilka dni później dopadła ją poważna choroba. Całymi godzinami, kiedy ojciec ubrany w zielony fartuch usiłował łątać wysłużone buty, które w naszej okolicy przechodziły z pokolenia na pokolenie, siedziałam przy jej łóżku, czytałam jej, czesałam ją, karmiłam i myłam. Nocą spałam w pokoju siostry lekkim snem, budziłam się przy najlżejszym jej ruchu, jakby nieoczekiwanie ktoś wyciągał mnie na powierzchnię. Podczas jej choroby ojciec zawiesił nad drzwiami warsztatu napis z moimi słowami: „Miłość może żyć także w butach”, co jednak nie sprawiło mi radości, tylko wzbudziło piekące wyrzuty sumienia. Kiedy po miesiącu w końcu wyszła ze swojego pokoju wychudzona i blada, ojciec tak się ucieszył, że moje nowe pantofle dał siostrze.

*

Zakochałam się, gdy siostra i ja już dawno wyrosłyśmy z butów, które przywędrowały zza oceanu. Ojciec nie miał synów, więc było oczywiste, że warsztat przejmie jedna z nas. Nauczyłam się sprawdzać materiał dotykaniem, opuszkami palców wyczuwać wszystkie wgłębienia i wypukłości. Zrozumiałam, że żaden but nie jest taki sam: lewy musiałam na przykład poszerzyć, a prawy skrócić. Zauważyłam też inne rzeczy: że zimą jest o wiele więcej pracy, bo trzeba zreperować obcasy i podeszwy, a wiosną i latem warsztat stoi cichy i pusty. Wymyśliłam, że można by poszerzyć działalność, więc oprócz butów zaczęłam szyc torby, portfele, szelki,

a nawet siodła. Sława warsztatu z napisem o miłości w butach szybko rozniosła się poza naszą okolicę, zagląдали do niego nawet ludzie z daleka.

Pewnego razu w warsztacie zjawił się on. Był koniec czerwca. Coś poruszyło się we mnie z taką siłą, jakbym nagle straciła grunt pod nogami. Ręce mi ścierpły, a język w ustach stał się beużytecznym kawałkiem ciała. Zdjął buty z nóg i uniósł je w górę. Podeszwy trzymały się tylko z tyłu, przy obcasach, a z przodu zwisały jak dwa suche języki. „Jest tak ciepło, że nawet klej się topi”. Wstałam z za stołu i z ulgą stwierdziłam, że jeszcze trzymam się na nogach. Podchodząc bliżej, czułam, że spódnica i jego spojrzenie lepią się do mojego spoczonego ciała. Tamtego dnia poznałam, że miłość może żyć w dłoni osłaniającej oczy przed letnim słońcem, w poczerwieniałej od upału małżowinie ucha i w bosych stopach. Kiedy wyszedł ze zreperowanymi butami i uśmiechem na ustach, dłonie, w których jeszcze przed chwilą trzymałam jego buty, przycisnęłam do twarzy i westchnęłam głęboko.

Należał do ekipy drwali, którzy przez całe lato wycinali w lesie drzewa, a jesienią ładowali je na ciężarówki i wywozili do stolicy albo za granicę. I w przeciwieństwie do pozostałych robotników był w moim wieku. Młodych, tych, co tak jak ja nie studiowali albo nie wyjeżdżali do pracy w mieście lub we Włoszech, lecz zostawali w domu, można było policzyć na palcach obu rąk, więc wieczorami zwykle dołączał do naszej niewielkiej gromadki. Jak perły na sznurek nizał opowieści z wielkiego miasta, wszyscy słuchaliśmy go z otwartymi ustami, ale niektórzy z goryczą, nie mogło usunąć jej nawet słodkie wino. Dla mnie to, co opowiadał, było święte, lecz znaleźli się i tacy, którzy od razu, gdy tylko

znikał, twierdzili, że to same bzdury. Pewnego wieczoru – a było wtedy wyjątkowo wesoło, na naszym stole stało dużo pustych kieliszków – po jednej z opowieści wstał, żeby się pożegnać, ale potknął się i upadł, wzbudzając wśród najbardziej zawistnych salwę gromkiego śmiechu. Nie zdążyłam ich uciszyć, bo już chwilę później rozległ się głośny brzęk i śmiech ustał jak nożem uciął. Tuż obok krzesła mojej siostry leżała rozbita butelka. Przyjaciele wyrzucali jej, że zmarnowała prawie pół flaszki dobrego wina, a ja dostrzegłam wtedy, że ich spojrzenia się spotkały. Oni dwoje zajęli całą przestrzeń wokół nas, spychając mnie do wąziutkiej szczeliny, w której miałam tylko tyle miejsca, żeby odetchnąć ciepłym wieczornym powietrzem.

*

Letnimi popołudniami nie dawało się pracować w warsztacie, więc ojciec wystawił mi stół na ulicę, w cień drzewa. Stamtąd widziałam zakurzoną drogę, pola słoneczników i wysokie świerki, które wierzchołkami strzelały w rozbielone od upału niebo. Ale w moich oczach było to jedynie nic niewarte tło, jeśli nie pojawiał się w nim on. Żyłam wyłącznie dla kradzionych chwil, kiedy przystawał w moim warsztacie pod gołym niebem i zamieniał ze mną kilka słów. A gdy się żegnał, patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął za rogami, mając do ostatka nadzieję, że jeszcze raz się odwróci.

Pewnego dnia w takiej właśnie chwili podszedł do mnie ojciec. Staliśmy pod starym napisem, z którego deszcze minionych lat niemal zmyły farbę. Powiedział:

– Tylko raz widziałem taki błysk w twoich oczach, to było wtedy, gdy ciocia podarowała ci buty. Nigdy

nie przeprosiłem cię za to, że dałem je twojej siostrze. – Z uśmiechem podniósł wzrok ku napisowi: – Wciąż wierzysz, że miłość może żyć w butach?

Kiedy pewnego razu w dzieciństwie siostra wróciła ze szkoły cała we łzach, ojciec usiadł na swoim trójnożnym stołku i spytał mnie, czy wiem, gdzie mogły się podziać buty siostry. Wbiłam wzrok w kopyto, na które przedtem naciągnął skórę, i chciałam powiedzieć, że to wcale nie były jej buty, lecz moje. Nie przeszło mi przez gardło, że skłamałam na lekcji, pytając, czy mogę pójść do ubikacji, a potem zbiegłam na parter do szatni, pod wieszakiem z imieniem siostry znalazłam swoje buty i chowając je pod ubraniem, wypadłam ze szkoły. Na wyasfaltowanym boisku, gdzie w czasie przerw graliśmy w dwa ognie, był kawałek opuszczonej ziemi. Gołymi rękoma wykopałam pod drzewem dołek. Nie powiedziałam ojcu, że buty, które przywędrowały zza oceanu, leżą pod ziemią, a dłonie, wciąż od niej brudne, kurczowo zaciskałam w kieszeniach. Uśmiechnęłam się tylko, pozostawiając go w złudnym przekonaniu, że wciąż wierzę w miłość, która może żyć w butach, choć naprawdę wierzyłam wyłącznie w moją miłość do drwała. Śniłam o nim co noc, a w dzień gorączkowo wyobrażałam sobie, że zabierze mnie do stolicy i odtąd wszystkie jego historie będą opowiadały tylko o mnie.

*

Jednego z letnich wieczorów na polance pod lasem drwale urządzili tańce. Wśród stosów pięknie pachnących bali postawili stół i ławy, my przynieśliśmy coś do jedzenia i wino. Wkrótce zapadł zmrok i musieliśmy zapalić lampy, które oświetlały tylko nasze tańczące

nogi, podczas gdy twarze pozostawały w ciemnościach, jego twarz też. W pewnej chwili nieoczekiwanie chwycił mnie w pasie i zaczęliśmy tańczyć. Czułam, jak krew burzy się w moich żyłach od miłości i wina.

Trochę po północy powietrze wciąż drżało od upału. Weszłam między rosnące w pobliżu drzewa. Kiedy zadarłam spódnicę, ktoś zgasił lampy i ściszył muzykę, słyszałam więc odgłos wsiąkającego w ziemię strumyczka. Wracałam w ciemnościach, a drogę wskazywały mi mrugające gwiazdy i niewyraźne postacie, które w parach lub grupkach siedziały na ziemi. Ale jego tam nie znalazłam. Ruszyłam za wonią drewna, okrążyłam stos bali. Czułam każde dotknięcie lekkiej sukienki ocierającej się o ciało. Skóra tęskniła za ponownym dotykiem jego rąk. Moje oczy potrzebowały tylko kilku sekund, żeby rozpoznać zarys sterty drewna, kasku, który jeden z drwali zostawił na ziemi, koca w kratkę i dwóch splecionych w uścisku ciał. Z przytłumionych dźwięków wyłowiłam jego głos. A na kocu zobaczyłam rozrzuczone niczym wachlarz włosy mojej siostry. Lato zniknęło, na moim spoconym ciele osiadł szron.

*

Pobrali się pierwszego dnia jesieni. Jedna za drugą wyjeżdżały ciężarówki załadowane drewnem. Po weselu mieli wyjechać i oni. Cały poprzedni dzień przeleżałam w łóżku, zalewając się łzami i nasłuchując coraz bardziej pijanych głosów przyjaciół, którzy przed naszym domem budowali bramę i najwyraźniej zapomnieli, że przyszły pan młody jeszcze kilka miesięcy temu był dla nich obcym człowiekiem. Kiedy moje obolałe oczy w końcu wyschły, zasłoniłam twarz dłońmi